N8/II

(14)

Co mówił stary klon

(Chwile)

ARCHIWUM E. ORZESZKOWEJ

Towarzystwo im. ELIZY ORZESZKOWEJ w WARSZAWIE

N8/II

http://rcin.org.pl

ARCHIWUM E. ORZESZKOWEJ IBL

Co mówi stary klon

Czy ludzie tylko posiadają mowę? Gdzie tam! Wszystko co żyje na niebie i ziemi, mówi; nie tylko co żyje, bo nawet kamień u brzegu rzeki, albo kurzawa unosząca się nad drogą, posiadają wyrazy, w które wsłuchiwać się warto. Trzeba wprawdzie mieć uszy tak urządzone, aby te gadatliwości wszech rzeczy słyszeć mogły, ale bywają takie, i ja sam...

Wyznać muszę, że był niedawno moment, w którym ogromnie zleniwiały mi ręce, i głowa, i serce. Nie chciało mi się nic robić, ani myśleć, ani czuć; najlepiej wolałbym usiąść sobie w jakim najdzikszym, najgłuchszym kącie świata, zamknąć oczy, skrzyżować ramiona i jak fakir wpatrując się w Nieskończoność, powtarzać: Om! Om! Om!, aż do zapomnienia o rozpaczliwej skończoności wszystkiego co jest na ziemi. Tacy fakirzy, którzy dopóty nieruchomo na jednem miejscu siedzą, aż im ~~[illegible]~~ w uszach szerszenie gniazda swe porozkładają, daleko więcej trafiali mi wówczas do przekonania, aniżeli tacy, którzy wskutek niesłychanego naprężenia sił cielesnych i duchowych, przez parę godzin wyprowadzają z ziarna całą roślinę fasoli, z łodygą, liśćmi i kwiatem. Ciekawym po co to czynią? Czy fasolą swoją tak świat nakarmią, że ród głodnych na nim zaginie? „Chwała człowiecza jako roślina polna przemija."

http://rcin.org.pl

„Snem cienia jest życie człowiecze, a człowiek cieniem, który śni." „Dźwięk jedyny, co nie kłamie, w wszystkich dźwięków świata gamie, to cmentarny śpiż!" I tam dalej, bez końca, lamenty hebrajskie, greckie, łacińskie, i różne inne przeciekały mi przez głowę, wypłukując z mózgu ~~wszelkie~~ światła i siły.

Nie zawsze przecież działo się tak, zawsze i bez powodu się nie stało. Był powód, i nawet w liczbie mnogiej: były powody, ale jakie? Mniejsza o to, ×bo sami mniej więcej znacie te rozmaite maszyny, które nasze ~~[illegible]~~ trzebią, gryzą, mielą, ~~[illegible]~~ tłoczą, aż ze stali uczynią gąbkę, a z brylantu węgiel.

Faktem jest, ~~[illegible]~~ że osowiały, leniwy, niczego już oprócz martwego spokoju nie pragnący, a i jego nawet pragnąć nie zdolny, tylko siłą rozpędu zanurzający się weń coraz głębiej, siedziałem od kilku godzin u okna, w głębokim, wygodnym fotelu, bo jedną z potrzeb przez ówczesne usposobienie wytwarzanych było mi to, aby siedzieć zawsze w sposób bardzo wygodny. Ciało moje zarówno jak dusza straciło możność utrzymywania się w postawie wyprostowanej. Od kilku godzin siedziałem na tem jednem miejscu, zaledwie spostrzegając smugę słonecznego światła, która zrazu błyskała po mojej odzieży i książce trzymanej w ręku, potem przygasała, stracała się, aż wykrzesawszy w szybie wielką iskrę ognistą, zniknęła. Później niebo, za oknem, za koroną drzew do połowy rozebranych z liścia, pięknie miało zachodzić słońce, królewskiemi barwami jesiennego ~~[illegible]~~ nieba otoczone, lecz ani głową nie poruszyłem aby to zobaczyć i wtedy zaledwie doświadczyłem uczucia pewnej błogości, gdy pokój napełniać się zaczął zmrokiem, tym haszyszem

dla oczu, które pragną już tylko widzieć to, czego rzeczywis-
tość dla nich nie ma. Książka zsunęła mi się z kolan i z ci-
chym szelestem rozpostarła się na ziemi. Dom, chociaż
nie bezludny, ale milczeniem napełniony, stał jak czara
szampana, która po ulotnieniu się musującego gazu,
pełna jest jeszcze, lecz uciszona i zwolna, stopniowo,
ogarniał go ~~[illegible]~~ wieczór jesienny, może po swojemu piękny,
ale mnie nic nie było do jego piękności. Miasto, śród
którego stał, w oddali wrzało po swojemu, ale mnie
nic nie było do jego wrzenia. W kącie pokoju miałem
zegar, który teraz szarą krepą owijał zmrok w kątach
najgęstszy i którego miarowy, monotonny tentent ~~[illegible]~~ wy-
dał mi się ~~[illegible]~~ oddechem otaczającej mię ciszy. Zaczą-
łem razem z ciszą oddychać, czyli powtarzać w myśli zgło-
ski najwyraźniej w tentencie zegara słyszane: „Tik-tak! Tik-
tak!" Potem, sam nie wiedząc kiedy i jakim sposobem,
może dla tego, że niedawno ~~[illegible]~~ o pustelnikach indyjskich
myślałem, albo że mózg mój nie miał ochoty wyrzucić
z siebie dwu liter, które w nim ugrzęzły, zacząłem usta-
wicznie i nieprzerwanie powtarzać: „Om! om! om!"
Plecy moje kurczyły się, garbiły i coraz głębsze wyżłobienie
urabiały sobie w miękkiej poręczy fotelu, ręce wzdłuż ko-
lan zwisły, powieki na źrenice opadły, nogi daleko na-
przód wysunęły się na kobierzec, a w głowie, która brodą
aż środka deski piersiowej dotykała, myśl obumarła
powtarzała ciągle: „Om! om! om!" I tego tylko brakowało,
aby jakiś szerszeń z kroplą miodu na skrzydle w uchu mi

zasiadł, albo jaki pająk począł sieć swoją zaciągać w listach, które z kolei rozwierały się szeroko westchnieniami i podziwianiem.

Potem: puk, puk, puk! Coś mi nad samem uchem zastukało w szybę. Niech sobie stuka! Co mi do tego! Po raz drugi: „puk, puk, puk!" I zarazem coś szepce. — Odwróćże głowę, Cmiusiu, i spójrz na mnie. Czyliż nie czujesz, że conajmniej tyleż nudzisz się, ile smucisz. Pogawędźmy z sobą trochę; może cię to rozerwie.

Zanim odwrócić, musiałem głowę podnieść, raczej podźwignąć. Podźwignąłem. Il n'y a que le premier pas qui coûte. Spojrzałem na szybę, do której coś pukało. Nikogo, nic. Tylko tuż pod oknem stoi wielki, stary klon i szeroko rozpościera silne gałęzie, całe w liściach żółtych, rudych, płomienistych i głęboko wyząbkowanych. Właśnie jeden z tych liści, najdłuższym z ząbków swoich o szybę mi uderza, a inne dokoła niego rozpościerają się jak dłonie na coś wskazujące, albo w górę podlatują, albo zbliżając się ku sobie zcicha szepcą. Niechby tam sobie szeptały ile chciały, ani myślałbym ich słuchać, ale ten jeden, wciąż w szybę dzwoniący, niecierpliwić mię zaczyna.

— Czego chcesz?

Jakby na zaklęcie, na to pytanie klon poruszył wszystkiemi naraz gałęźmi, które rozstąpiły się na wszystkie strony. No i cóż? Cudne niebo wieczorne, to prawda; u skraju, strugą gasnącego złota z ziemią rozdzielone, powyżej, przelewające fjolety ametystowe z bladą zielenią, która

którą ustały już stokrotnie gwiazdy. Niegdyś, widok ten wprawiałby mnie w ekstazę, ale teraz... poco ukazujesz mi go, stary Klonie?

Nie odpowiedział nic, tylko u samego szczytu, jak dwa ramiona szeroko rozpostarł dwie gałęzie, pomiędzy któremi zawisł obłok, podobny do skrzydła zrumienionego dogasającym ogniem. Prawie w mgnieniu oka skrzydło to przelało się na wachlarz rozpostarty, potem na pochodnię, wytryskającą z płomienia kłęb dymu, a wkrótce połączywszy się z parą ~~[illegible]~~ nadbiegłych powietrzem puchów różowych, utworzyło profil ~~[illegible]~~ dziewiczy ~~[illegible]~~ z złotym warkoczem, który wnet zwinął się ku górze i w sposób taki ocienił profil, że ukrył się on w przyłbicy rycerskiej, powiewającej srebrnym pióropuszem. Bardzo ładna gra obłoków! Lubiłem niegdyś przypatrywać się robotom niewidzialnego tkacza, który w czarnoksięskiej retorcie, ~~[illegible]~~ przelewa pod niebem jedne w drugie tysiące form i kruszców, ale teraz... cóż mi ~~[illegible]~~ z tego?.. ~~Tylko wspomnienie pewnego, takiego samego wieczoru, w którym~~... A! poczekaj, poczekaj, Klonie! Nie opuszczaj ~~[illegible]~~ w dół gałęzi! Co to za czarne punkciki pomiędzy niemi, niby ziarna makowe, rozsypane? Tu i ówdzie, dobywają się z nich dźwięki krótkie, piskliwe, podobne do szpilek przeszywających powietrze. A, to gniazda ptasie!

— Gniazda ptasie, spokojnie potwierdził Klon i z pogodną dobrodusznością mówił dalej. Mam ich teraz niewiele

http://rcin.org.pl

6.

i wiosną dopiero trzeba widzieć, co tu tego skrzydlatego maleństwa chroni się pod moje liściaste skrzydła. Niekiedy nawet bywają słowiki. Czy nigdy nie słyszałeś w Maju słowika, śpiewającego na gałęzi mojej, tuż prawie nad ziemią?

— Owszem, słyszałem; ale wówczas właśnie, miłość zadała mi ranę tak bolącą, żem tego jej śpiewaka o mało z gniewu nie zastrzelił. Bo poco kłamie? Nie doszedłem przecież jeszcze do tego stopnia złości, abym zabijał słowiki, więc tylko od cudzych strzałów tego, uciekłem.

Klon odpowiedział.

— Byłeś nierozsądny, gniewając się na słowika, który nie kłamie, bo pieśni słowicze ~~[illegible]~~ są takimże płodem ziemi jak bóle człowiecze i niebyłżeby śmiesznym ten, ktoby chciał zgasić słońce dla tego, że nie oświetla ono ~~[illegible]~~ otchłani? Nieprawdaż?

— Prawda, Klonie; tylko że w pewnych momentach ~~[illegible]~~ wszelkie prawdy są dla bólów ludzkich tem samem, co dzwony kościelne dla robaka, przewiercającego drzewo. Dzwon wzywa na nabożeństwo i rozlega się tak, że aż powietrze gra, a robak tymczasem słuchać go ani myśli i ~~[illegible]~~ wwierca się w drzewo tak, że aż mu miąższ przegryza. Ale po co ja ci to mówię? Wszak nie możesz być psychologiem, jakkolwiek od paru minut spostrzegam, że jesteś wcale przyjemnem drzewem.

— Jestem tylko niezłem sobie drzewem, skromnie odpowiedział Klon. Dobre chęci moje znają te skrzydlate maleństwa, o których opowiadać nie skończyłem. Na wiosnę, kiedy wiatały

gubią z gałęzi takie kotki podługowate, mięciuchne, srebrnawe.. ~~całe~~ wiesz?...

— Wiem, wiem, przerwałem z żywością, która zdziwiła mię i zmartwiła. Świat roślinny niegdyś kochałem i przypatrywałem się mu zblizka, lecz teraz, co mam mniemać o bezdenności mego smutku, którego dna znalazły kotki wierzbowe, podługowate, mięciuchne, srebrnawe!

Klon zaś nie zważając na przerwę prawił dalej.

— A kiedy topole sieją po świecie takie mnóstwo białego puchu, że ziemia nim na szerokich przestrzeniach jest śniegiem okryta, wtedy to trzeba widzieć, jaka to robota, jaki gwar, trzepot, skakanina, wyścig dzióbków, które z kotkami i puszkami do mnie się zlatują. Mam tego wówczas mnóstwo. Teraz, wróbli tylko trochę, kilka ~~par~~ rodzin koleżeńskich i ot, dziś właśnie para gilów na zimę przyleciała, gniazda jeszcze nie ma i przytulona do siebie na gałęzi śpi.

— Nie śpi, zaprzeczyłem, i nawet ~~z~~ jest czegoś przelękniona. Dwie czerwone główki wytknęły się z pomiędzy liści i w trwodze obracają się na wszystkie strony. Ale i w gniazdach wróblich ruch i pisk! ~~[illegible]~~ Co im grozi?

Klon zaśmiał się cicho.

— Ej, nie wcale! Wiewiórka, która w tym roku zamieszkała u samego szczytu mego, machnęła może kitą, lub ~~albo~~ głośno rozgryzła łupinę orzecha.

To mówiąc, ostrożnie, uważnie rozchylił ~~[illegible]~~ kilka najwyższych gałęzi i na jednej z nich spostrzegłem istotnie

stworzenie z sierścią tak gorąco rudą, że na zmroku odbijała się plamą czerwonawą. Orzechów nie gryzła wcale, tylko kitę kosmatą ~~podn~~ jak pióropusz podniósłszy, siedziała podobna do figurki, co symbol zadumania odlanej z miedzi. Klon gderać zaczął.

— A co! tak jest jak ~~dam~~ przypuszczałem. Nie śpi jeszcze! Marzycielka i lekkomyślnica! Zawszem spostrzegał, że marzycielstwo z lekkomyślnością w parze chodzi, pewno dla tego, że marzenia jak wiatry miotając myślami, nie pozwalają im nabywać wagi centnarowej. Ta też, przez dzień cały skakała jak baletnica a teraz zamiast spać, o niebieskich migdałach duma i dzieci mi tylko straszy!

Mówiąc to, liście swe dłoniaste i wyżłobione opuszczał na gniazda jak firanki, albo jak opiekuńcze ręce, z czujnie rozpostartemi palcami. Gniazda też uciszyły się zaraz, a dwie gile główki, z pomiędzy liści wyzierające przytuliły się do siebie i zamknęły oczy. Wtedy rzekł:

— To są moje dzieci.

Po raz pierwszy oddawna uśmiechnąłem się.

— Masz ich mnóstwo.

— Czy tylko tyle! odpowiedział z dumą. Nie masz pojęcia ile dokoła pnia mego wyrasta źdźbeł trawy rozmaitej, któraby przepadła, a przynajmniej skarłała, gdybym liśćmi swemi gruntu dla niej nie użyźniał, a ~~potem~~ później wątłości jej cieniem swym nie strzegł. Gdyby nie ja, głód byłby te źdźbła skurczył, lub skwary słoneczne pożarły. I zdaje się na pozór,

http://rcin.org.pl

że szkoda byłaby niewielka, a jednak nie, bo są to istotki śliczne i z ich zgubą zginęłaby na świecie duża kropla piękna. Prawie nikt o tem nie wie, dla tego, że są małe, a takto już jest na świecie, że łatwiej u wielkich dostrzedz pyłinę piękności, aniżeli ogrom jej u małych. Ja go dostrzegam w pióropuszkach, piórkach, gwiazdkach, języczkach, pędkach, strzałkach, koronkach, żyrandolkach, któremi ten drobiazg z ziemi wyrasta i drobniejszemu jeszcze od siebie drobiazgowi służy....

— Służy? zapytałem.

— A jakże! Ce qui se ressemble, s'assemble. Liliputom z liliputami dobrze. Boże krówki, jak rubiny, żuczki, jak czarne paciorki, pająki, z szybkością strzały biegające, świerszcze, które chóralnym hejnałem nocne rosy chwalą, muszki, które górnemi loty naśladować ptaki usiłują, różne tam jeszcze robaczki nieme, pełzające, najlichsze z najlichszych i tem tylko cenne, że jak złoto w brzydkiej rudzie tkwi w nich iskra życia, żyją i plemią się w lesie tych form malutkich, których cząstkę tylko ci wymieniłem. Pośród strzałek, piórek, gwiazdek, języczków i żyrandolków zielonych, ruch panuje wieczny, bieganina, latanina, krzątanie się, praca, gonitwy, przemyślność, tak, że aż mi żal nieboraczy, że rodzi się to takie drobne, dla tego tylko, aby cały ten bój herkulesowy stoczyć i w prochu trupem ledz. Ale na medytacye pesymistyczne czasu nie mam, bo oto powietrzem, nie wiedzieć zkąd nadlatuje rój motyli, kłębi się jak obłok z wirujących atomów złożony, spada na mnie

jak iskierzyca i wśród gałęzi moich salę balową sobie urządza. Owszem, bardzo proszę! Parami i pojedyńczo gonią się i oblegają, hulają w tańcu ile tylko sił starczy. Ile promyków słońca drga wśród moich liści, tyle pomiędzy niemi uwija się motyli, tak, że stoję cały w sieci złotej i w roju małych skrzydeł jak śnieg białych. Ale trwa to niedługo, bo niebawem, motyle pary rzucają się sobie w objęcia, pijane miłością przez chwilę jeszcze trzepocą w złocie słońca i po chwili już nieżywe, padają na ziemię jak szmatki zgniecionej tkaniny. Widok to smutny, ale i nie smutny, bo ja ci to opowiadam, stary klon, którym wiele na świecie widywał, że motyl umierający w chwili gdy pił miłość, stokroć szczęśliwszym jest od ciebie, człowieku, który ciesząc się zdrowiem wybornem, mogiłę twojej w sercu nosisz.

— Powiedziałeś rzecz oddawna wszystkim znaną. Niemniej, gawędka z tobą podoba mi się coraz więcej i bardzo żałuję, że o ludziach mówić nie nie możesz. Obawiam się, pewno nic o nich nie wiesz.

Klon wyprostował się i z góry na mnie patrząc, parę razy ironicznie szczytem potrząsł.

— A co ty wiesz, człowieku? zaszumiał, co ty o nich wiesz?

— Uwaga słuszna, rzekłem; odkąd zacząłem przypatrywać się tylko twojej zacnej duszy, innych nie widzę wcale.

— I tego człowieka nie widziałeś, który przez całe ubiegłe

lato, pod samem oknem twojem, w cieniu moim....

— Nie widziałem; któż to taki?

Klon, tak jakoś w jedną stronę zwinął wszystkie swe gałęzie, że odsłonił przedemną widok dobrze znany, lecz na który oddawna już wcale uwagi nie zwracałem. Był to w oddali nieco stojący gmach ogromny z którego ciemnych i prostych kominów wybuchały grube dymy, a z licznych okien biła łuna do pożarnej podobna. Dymy kładły się na wieczornym zmroku, jak ciężkie, pełne iskier chmury, które toczyło się w nich nieustanne, monotonne warczenie grzmotów.

— Fabryka, rzekłem. Więc cóż?

— Nic osobliwego, odpowiedział Klon. Każdy wyrostek uliczny wie co się w niej dzieje. Skwar ognia, grzmot kół, zgrzytanie żelaziwa o żelaziwo, lotne trucizny w powietrzu, mięśnie ludzkie wyprężone, klatki piersiowe zdyszane, twarze w zmarszczkach, ciała w pocie, dusze w niewoli. Nic osobliwego. Ale człowiek, o którym wspomniałem, wybiegł, a raczej wypadł raz ztamtąd nietylko zziajany i potem oblany, lecz w dodatku zębami szczękający. Szczękały mu zęby mniej jeszcze od febry, która trzęsła jego ciałem, ile od złości, która rozsadzała duszę. Zbuntował się przeciw pracy zbyt ciągłej, zbyt ciężkiej i źle na tem wyszedł, bo rzadko się zdarza aby niewolnik, który targnął się przeciw jednemu batogowi, nie popadł za to odrazu pod dwa. Tak i ten: przeciw tyrańskiej pracy powstawszy, dostał drugą jeszcze

monarchini: pięknej złość". I za zgłosów szczękających przekleństwa wytańcał, pięścią wygrażał, słowem, powiadam ci, wyglądał jak ~~gotowy~~ na wszystko gotowy zbój. Szczęściem, paroksyzm febry tak podcinał mu nogi, że długo iść nie mogąc, a mnie ujrzawszy, runął jak długi u stóp moich. Stałem wówczas w pełnej wspaniałości swego zielonego płaszcza, więc niedługo myśląc, rozpostarłem go nad tem w męce leżącem ciałem ludzkiem tak szeroko i bacznie, że od stóp do głowy okrył go łagodny, kojący cień. Potem, liśćmi jak wachlarzami zacząłem poruszać zlotna, cicho, tyle tylko, aby ich powiewy osuszały mu ~~pot~~ krople potu na twarzy i ochładzały rozpalone oczy. Wił się czas jakiś jeszcze na trawie, jęczał i ~~...~~ przeklinał, lecz stopniowo, w spokojnym szmerze, którym ~~...~~ go ~~...~~ kołysałem, uspokajał się, przycichał, aż zamknął powieki i usnął. Cicho nad śpiącym stałem, zasłaniając mu tylko opalone ~~...~~ od ognia czoło od upalnych promieni słonecznych, a gdy spostrzegłem, że wnet się obudzi, zawołałem na swą orkiestrę, aby powracającą do jawy duszę jego powitała pieśnią, lecz nie głośną ani wesołą, bo wrzawa i wesołość są drażdżami, ~~od~~ których ucznie nieszczęścia ~~...~~ wyrasta. Więc zcicha, ostrożnie ptaki moje szczebiotać zaczęły, a ja ze swej strony lałem mu w oczy swoją świeżą zieloność tak obficie, aby wypłukać z nich męty bólu i gniewu. Jakoż, po raz pierwszy od lat wielu, oczy te długo patrzały w zieloną gęstwinę, gdy tymczasem, szczygieł ~~...~~ zmizywał w niej na promień słońca drobne trelliki,

a ~~drobne~~ małe mięty, cząmbry, dzięcieliny na których spoczywał, [illegible] wydawały [illegible] rzeźwiące wonie. [illegible] ~~[illegible] i gdy głowę od niego odrywał, [illegible] [illegible] miód, ją [illegible] z powrotem do fabryki zdrowszą, lepszą niż była przedtem~~ kosztował potem i odszedł, lecz powraca często. Niedalej jak wczoraj w południe przyszedł i miał jak zwykle „książki" na trawie, gdy biała pajęczyna, którą teraz rozwieszają na liściach moich pająki, ta, wiesz? coto ją ludzie babiem latem nazywają, osiadła mu na całej twarzy wąsatej i ogorzałej. Lśniącą jedwabistą przędzą z wąsów, ~~[illegible]~~ szorstkich, z czoła poranego zmarszczkami, z oczu zawsze trochę posępnych i patrzę ~~[illegible]~~ jak mu srebrzystą gazą oplątała tę ~~si~~ fabrycznych ogni opaloną, zaśmiał się...

Umilkł Klon, a ja po chwili zamyślenia rzekłam.

— Ten też ja nigdy biedaka tego nie spostrzegł, pod samym oknem mojem, w cieniu twym odpoczywającego. Dziwna rzecz!

Kilka liści, najbliżej szyby fruwających, aż podskoczyło w górę ze śmiechu.

— Wcale nie dziwna! Wcale nie dziwna! chichotały, ale tym odłatem zebrać się na zapytanie, Klon w zamyśleniu chwiejąc się, ~~[illegible]~~ zaszumiał.

— Hej, hej, gdybym chciał opowiadać, o wszystkich ludziach z którymi w przyjaźni żyłem, za miesiąc bym nie skończył. I nie dla tego przyjaźniłem się z nimi, żebym osobliwie kochał ich, albo czcił, ale że to stworzenie wiecznie czegoś pragnące, a mówiące, wiecznie niczego nie pewne,

ani zupełnie ziemskie, ani zupełnie niebieskie, nie
każdej nici z otęsów miejscowych wyczesione, z tkną przę-
dzą tkn bo dla ziemskiem ciążące, [illegible]
[illegible]" Dzieci, młodzieńcy, starcy... Aha!
Dzieci! Opowiem tobie, jakiego figla raz spłatałem,
na korzyść" pewnego [illegible] dzieciaka. Dawno to już
było, ale zdaje mi się, że słyszę jeszcze nieznośny
wrzask jego, tam, w tym kwadracie brukowanym, co
to za ogrodzeniem rośnie. Matka pracowita, wiecznie
zwijana od pośpiechu, kładła go tam co rano w
dziecięcej podartej owijany, pomiędzy [illegible] bylicą
i świętojańskiem zielem, słusznie pomiarkowawszy,
że zdrowiej mu tam oddychać świeżem powietrzem, niżeli
[illegible] parą i smrodem mydlin. Zdrowiej, to zdrowiej,
pewno, ale dzieciak umorusany, samotnością nastra-
szony, może przez muchy albo komary kąsany darł się
w niebogłosy, aż mi ten krzyk jego nerwy przeszywy-
wał. A właśnie w tej samej porze, inna matka, [illegible]
cała, młoda i dostatnia, siadywała w cieniu moim
z kolebeczką śliczną, w której śpiewaniem kołysanek me-
lodyjnych [illegible] usypiała dzieciątko różowe,
umyte, w sukience jak cacko, pod kołderką do obłoczka
podobną leżące. Szydełkiem w białych palcach połysku-
jące [illegible] bywało zcicha, a ja nad ciemnemi jej włosami
szeptać zaczynam w taki sposób, aby szept mój do
serca się jej dostał, poruszył je i do głośniejszej pieśni
pobudził. „Szczęśliwaś! szepcę, — lecz szczęście kobiece,
jak miłość" mgła zmienne, i jak dzieciąt kruche. Może

utracisz ię, a może odzyskać ~~[illegible]~~ jeszcze będzie! Trwoga jest cieniem chodzącym za nadzieją... a wzgórze mogiłne posiada kształt kolebki, tylko inną stroną zwróconej ku ziemi. Więc cieszże się i smuć zarazem, pragnij i trwóż się, a śpiewaj tylko coraz głośniej, rzewniej, ~~[illegible]~~ ciszej... ~~[illegible]~~ ...."

Błogość i melancholja, które dobywają się ze starego drzewa, gdy w zamyśleniu kołysząc gałęzie o różnych takich rzeczach szumi, oblewały jej serce jak woda morska perłę i jak szmer w łonie konchy, obudzały w niem pieśni coraz głośniejsze, rzewniejsze, dłuższe, aż niby ich ~~[illegible]~~ dosięgać zaczynały miejsca, gdzie za płotem rósł krzak berberysowy. Tam zaś, chude maleństwo w tylicach i świętojańskiem zielu pogrążone, głupie! brało do siebie rajską melodyę kołysanki macierzyńskiej i z czerwonem gronem berberysowych jagód w obrzydnych łapinach, spokojnie usypiało. Tak to ja podstępnie sprawdziłem, że młoda matka jednego dzieciątka, śpiewała dla dwojga.

Stał potem klon przez parę minut milczący, ale za to kilka liści jego żółtych, wyżłobionych, fastrycznie podlatujące w górę, przy samej szybie zaszeptało.

— Była tu raz u nas para kochanków....

— Cicho! ~~[illegible]~~ nie chcę! przerwałem, machając ręką.

One upierały się mówić cokolwiek.

— Był raz poeta.....

— Dajcie mi pokój!

— Dla czego, dla czego o kochankach i poetach słuchać nie chcesz? zachichotały liście.

— Bo miłość i poezya tyle mi różnych dóbr życia odjęły, że stałem się nędzarzem żebrzącym pociechy, ja, człowiek, — u drzewa.

— Alboś ty pierwszy taki? zaszumiały liście i zaczęły drwić.

— Był raz mąż, któremu dom ojczysty runął, mąż silny, a jednak....

Tu stary klon obudził się z zamyślenia i w swoich żółtych liściach, jak snop ognisty wyprostowany, od pnia do szczytu szumieć zaczął.

— Mąż silny, a jednak zapłakał i sam widziałem jak łzy jego padające na gruzy przemieniały się w krople krwi. Był to płacz krwawy, ale trwał niedługo. Nad gruzami rozległy się stuki topora i łoskoty znoszonych, toczonych kamieni; mąż silny począł odbudowywać dom. Ciężka robota, wiatry przeciwne wieją i co zrobione jest obalają, największe siły granice swe mają, biedak ~~[illegible]~~ niekiedy ze zniechęceniem opuszcza omdlałe ręce. Gdy raz je tak opuścił, na belce, tuż mu nad głową, zjawia się szatanik, wcale nawet ładny. ~~[illegible]~~ Czarny jak noc i aksamit, na głowie miał różki złote, w ustach sinawy płomyk taki, jakie to czasem nad cmentarzami ulatują, a u nóg i rąk kopytka i pazurki nie rogowe wcale lecz brylantowe. Przytem, bynajmniej nie smołą ani siarką pachniał, ale rozlewał dokoła woń najdosko-

najdoskonalszych perfum. Jak zwinna małpka, która
wyprawia koziołki, zawiesił się na spróchniałej belce
i zamordowanemu biedakowi nad samą głową prawi:
„Porzuć tę głupią robotę! Bo i do czego ona prowadzi?
Dom ojczysty, czy nie ojczysty, wszystko jedno; każdy
dobry, w którym wygodnie i miło. Co za ochota tracić
drogie życie na dźwiganie kamieni, które za nic
jeden na drugim ustać nie chcą i walenie młotem
w gwoździe, które nigdy nic spoić nie mogą! Gdybyś
jeszcze nie miał gdzie mieszkać! Ale owszem; wiesz
dobrze o tem, że zawsze gotów jestem udzielić ci schronienia
takiego, że twoja budowa ani by się z niem porównać
mogła wtedy nawet, gdy była jeszcze „pałacem
starożytnym dumnie.” Ideologiem jesteś, a ja nad tym
gatunkiem ludzi szczególną litość czuję, bo głupiutki.
Wszelkie inne, naprzykład: samolubcy, tyrani, rozkosz-
nicy, ladacznicy, oho, mądrzy! Zanim ja z nich
sobie buljon gotować zacznę, nakąpię się do syta
w różanych olejkach i malmazyi. Tacy zaś jak ty, mają
dar rozśmieszać mię serdecznie, a kropla wesołości,
wczas spadła, może nawet szatana pobudzić czasem do
dobrego czynu. Usłuchaj mię więc pókim dobry, rzuć tę ru-
derę, niech sobie do reszty rozwala się i dogniwa, ja zaś

w zamian darnię ci ten pałac.... widzisz go tam?
e? co? piękny! wysoki! „Sterczący dumnie"! prawda?
A jaki mocny! Siedem wichrów, siedemdziesiąt piorunów, siedemset siedemdziesiąt siedem miljonów wystrzałów armatnich uderzyć weń mogą, a on ani drgnie! Cóż, głuptasku, chcesz tam zamieszkać? To chodź ze mną, zaprowadzę, wprowadzę, zarekomenduję, ulokuję, a później wrócę tu i jak świsnę po tej twojej budce, to z ziemią ją zmieszam i ślad po niej nie zostanie. No, chodź!'!"
Wszystko to mówiąc, szatanik zabawny, takie łamane sztuki po belce wyprawiał, że aż mu złote rożki iskrami pryskały, czarnemi oczyma jak rubinami błyskał, a pazurkiem brylantowym, wciąż na „sterczący dumnie pałac" wskazując, smugi tęczowych blasków w powietrzu zapalał. Biedak, z raną w sercu, z toporem w opuszczonem ręku, a na twarzy ze śliną wzgardy, którą go mieszkańcy sąsiednich domów opluli, stoi, słucha, myśli: „Może to i prawda! Jaki śliczny ten brylantowy pazurek szatanka! Mojemi brylantami są krople potu i łzy, które wzbudzą się [illegible], padają w serce. Może i głupi jestem! Może niczego nie dokonam; Może werbena, którą pachnie ten szatanik, tak zmysły moje upoi, że o tych gmachach swoich zapomnę.'" Gdy on tak duma, ja, stary klon, stoję sobie na uboczu, słucham,

czekam i tylko godzinami ~~[illegible]~~ po swojemu szumię, w taki sposób, aby ten, którego kolebka niegdyś w cieniu moim stała, spojrzał na mnie wreszcie. Jakoż, po chwili, oderwawszy wzrok od brylantowego paluszka i złotych trzewików szatanika, spojrzał, a w tej samej chwili serce w nim zaczęło, — rzecz nie do uwierzenia! nietylko śpiewać, ale i malować. Prędzej niźli pomyśleć podobna, wyśpiewało ono ~~za~~ cały cykl pieśni i wymalowało ~~[illegible]~~ galeryę obrazów, w których ja (naturalnie) byłem, jedną tylko literą i jedną kroplą farby, lecz w sprawach serca wydaje to zawsze tak: zacząć tylko, a z kropli powstanie morze, z litery poemat. Dość, że z zamyślenia mego biedaka wypadło grzmiące: Vade retro! i jak matka nad mdlejącem dzieckiem, ~~[illegible]~~ z rozpostartemi ramiony pochylił się on nad swemi kochanemi gruzami. Czy dźwignął ~~z~~ ruiny dom twój ojczysty? Podobno jeszcze nie. Czy kiedykolwiek dokona tego? Azaliż ja, śmiertelne drzewo, wiedzieć o tem mogę? Ale poznam już jest, że szatanowi na bulion nie pójdzie i że z jego winy szatan mu po ojczystym domu ~~[illegible]~~ nie świśnie tak aby go z ziemią zmiększać. A i to już coś znaczy, nieprawdaż?

— Tyle co ~~[illegible]~~ czystość sumienia, odpowiedziałem.

Zamyśliliśmy się i długo milczeliśmy obaj, ~~[illegible]~~

— ~~Ile masz lat?~~

— Nie pamiętam dobrze, ale najpewniej ze dwa razy więcej aniżeli ty.

— A kto cię zasadził?

— Nie pamiętam nazwiska człowieka tego. Sam nazywałem go Smutkiem.

— Dla czego?

— Bo miał oczy, w których nic oprócz smutku nie mieszkało i które, od ciernego serca może uciekając, spojrzeniem zawsze biegły gdzieś daleko.

— I chociaż był tak smutny, jednak cię zasadził?

— Jednak zasadził.

— Po co?

— ~~Domyśl się, człowieku~~

~~Wysłuchawszy~~ W pokoju, ciemność" już zupełnie oddychała niewstrzymanym, miarowym tententem zegara: tik-tak! tik-tak! ale nie wiem czemu nie chciało mi się już oddychać razem z ciemnością. I pustelnik indyjski, który długo powtarzał był we mnie: „Om, om, om!" wypadł mi z mózgu. Sam niewiedząc jak i kiedy, powstałem z wygodnego fotelu.

— Dokądże to? już za szybą zaszumiały fantyczne liście.

— Lampę zapalę, odpowiedziałem.

— Po co? zapytał cały klon.

— Domyśl się, kochane drzewo.

El. Orzeszkowa

Archiwum E. Orzeszkowej 18

http://rcin.org.pl